

## Podwójny jubileusz: 33 na 60

### Ze Stefanem Chwinem, jubilatem, rozmawia Tadeusz Skutnik

**- Pisarz Stefan Chwin, ale też rysownik, pracownik naukowy, należy do ludzi precyzyjnych, detalistów. Skąd się to u niego bierze?**

- Mam to po rodzicach. Bardzo akuratywny musiał być mój ojciec, którego zajęciem było rozliczanie floty. Zawód matki – pielęgniarstwa – też nie tolerował bałaganiarstwa. Zmysł porządkowania wszystkiego najwidoczniej otrzymałem w genach.

**- Drugi tom dzienników, zatytułowany „Dziennik dla dorosłych”, rozpoczyna pan tymczasem niezbyt przychylnym portretem ojca, człowieka bojaźliwego.**

- Protestuję, był człowiekiem preferującym „życie w ukryciu”, człowiekiem absolutnie zdruzgotanym przez Rosję. Był to dla mnie widok bardzo przygnębiający. Nie ufał niczemu, żadnym deklaracjom ani umowom, bo w Wilnie przeszedł zmieniające się okupacje: litewską, niemiecką, podwójną sowiecką, był świadkiem „wyparowywania” w nocy całych ulic, a nawet kwartałów miasta. Stosował też różne mimikry, żeby nie wyparować gdzieś na wschód albo nie dać się wcielić do sowieckiej armii. Nie był Katonem. Nie miał złudzeń co do Rosji. I to wszystko nie wprost, ale odłamkowo, zaszczepiał również mnie.

**- A matka?**

- Matka warszawianka, natura wprost przeciwna, wylewna, otwarta. Nie miała np. ani chwili wahania, ani cienia krytycyzmu wobec Powstania Warszawskiego. Ojciec – tak, miał wątpliwości, ja za nim też. Ci warszawiacy mieli jakby mocniejsze ego. Ja to później określałem jako „fumy warszawskie”.

**- A jednak, choć ojciec trenował pana w sceptycyzmie, decydując się na pisanie – sprzeniewierzał się pan jego woli, pisanie bowiem – czy się chce czy nie – obnaża piszącego. Przeprasza go pan za to w najnowszym tomie dzienników.**

- Zajmowanie się literaturą jest ryzykownym zajęciem. Tu się niczego nie da ukryć. Jak tylko sięgniesz po pióro, ono cię zdradzi, pokaże wszystko. O tym między innymi mówi „Złoty pelikan”. Wystarczy dobre oko analityka, a nawet bystrzejszego czytelnika, żeby dowiedział się o tobie wszystkiego. Nawet najbardziej wstydliwych rzeczy. W składni, stylu, metaforach, w rodzaju wrażliwości.

**- Ale powieści, fabuły zmyślane, też obnażają pisarza?**

- Też. Siedzi tam sporo różnych rzeczy, których na przykład się boimy.

**- W „Hanemannie” też?**

- Owszem, choć lektura tej książki była spolityzowana; jakieś pojednania polsko-niemieckie itd. Natomiast najciemniejsza sprawa: krążenie wokół psychicznych i duchowych niebezpieczeństw grożących życiu, gdy człowiek traci grunt pod nogami – przeszła jakby niezauważona. Jak człowiek usiłuje wyjść z jakichś dołów, w których ja się też czasami znajduję – o tym też jest ta powieść. Gdy patrzę na swoje życie, nie widzę go w zupełnie jasnych barwach.

**- A kto widzi? Chyba kompletny idiota. Zmieńmy temat, bo brniemy w czarne dziury. Jak to jest być jubilatem?**

- Przyjmuję ten stan z dość mieszanymi uczuciami. Jestem wewnętrznie podzielony. Z jednej strony mam skłonność do życia, którego uczył mnie ojciec, tzn. do życia w ukryciu. A co jakiś czas mam w sobie odruch mojej matki, która była i jest bardzo ekspresyjną osobą. Która uważa, że żyje się poprzez ujawnianie życia. Zupełnie niepodobna do ojca. Ogień i woda. Można się było nabawić w dzieciństwie rozdwojenia jaźni. (śmiech)

- **Wobec tego jubileusz też jest „od strony matki”, bo równie jak pisanie, a może bardziej, ujawnia. Jubileusz podwójny: z jednej strony 33 lata od debiutu, a z drugiej zbliża się okrągła data urodzin. Dwa w jednym.**

- Tak się składa. Za swój debiut literacki uznaję artykuł o Gombrowiczu – sarmacie kontestującym romantyków w „Ruchu Literackim” 1975. Pisałem oczywiście wcześniej.

- **Rysowałem jeszcze wcześniej...**

- A tak, od dziecka, potem w orłowskiej szkole plastycznej, której jestem absolwentem. Kiedyś nawet, za rysunek pałacu, w stylu warszawskiego PKiN-u, który planowany był w Gdańsku na Biskupiej Górze, otrzymałem z „Przyjaciółki” nagrodę: trzy wagoniki kolejki.

- **Matko święta, pan też maczał palce w tym ohydny projekcie, który na szczęście udało się unicestwić?**

- Niestety.

- **Usprawiedliwia pana wiek dziecięcy. Pierwsza książka to wspólna ze Stanisławem Rośkiem „Bez autorytetu”.**

- Rok 1981. Uehonorowana Nagrodą Kościelskich, której nijak nie udawało się nam odebrać. W końcu jednak pojechaliśmy z Krystyną (żoną) do Genewy po dwóch latach starań o paszport, w 1984 roku.

- **To wtedy pańska matka musiała podpisać swoisty cyrograf?**

- Tak, podpisała notarialne zobowiązanie, opatrzone pieczęciami i znakami skarbowymi, że ona, Aleksandra Chwin, zobowiązuje się zając naszymi synami gdybyśmy uciekli na zachód.

- **Pytam o to, bowiem w Nadbałtyckim Centrum Kultury, na wystawie wprowadzającej do pańskiego życia i twórczości: „W pracowni pisarza. 33 lata ze Stefanem Chwinem” zobaczyłem reprodukcję owego „cyrografu”.**

- Jest tam więcej świadectw „z epoki”, której dzisiejsza młodzież na szczęście nie zna. Na przykład epopeja naszych starań o maszyny do pisania poza kolejnością (dwie, bo z żoną), zakończone fiaskiem, czy z kolei powodzeniem – starania o jedną pralkę.

- **Wydaje mi się, że ta wystawa też wiele ujawnia z tego, co może chciałby pan ukryć; może nawet – obnaża.**

- Ejże! Odkryłem już prawie wszystko swoim pisarstwem, co więcej taka wystawa mogłaby ujawnić? Proszę zwrócić uwagę, że jest ona zrobiona z humorem, z dystansem wobec mnie i mojego pisanio-rysowania. Niech to będzie odpowiedź na pytanie jak to jest być jubilatem. Przyjemnie, jednak bez zachwyty. Nad sobą zwłaszcza.